



Koncept

WWW.GAZETAKONCEPT.PL

WYJUMANI



w tym NUMERZE:

**MONIKA
TOPPICH**

Studia na skróty zaczynają się już od prac licealnych. Przy dobrych wiatrach i układach za pieniądze kupimy wszystko, aż do dyplomu, by w końcu pozostać z niczym. STR. 5

**WIESŁAW
CHEŁMINIAK**

Likwidacja Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk w kwietniu 1990 roku była traumatycznym przeżyciem dla polskich filmowców. Odtąd nie było już na kogo zwalić winy za mętne fabuły, bełkotliwe dialogi i byle jaki montaż STR. 11

**MATEUSZ
ZARZEWAŁY**

Wyglądiali czytelnicy najpierw nęceni są zapachem, by po kilku miesiącach otrzymać oczekiwany przysmak. Tymczasem zapowiedź nowej powieści o Gercalce z Rivii spadła z szybkością wiedeńskich mieczy STR. 13

**IGOR
ZALEWSKI**

Chcę, żebym sobie pociupał z samotnymi matkami z okolicy, które z braku ojców dzieci, są spragnione seksu. Miło, że ktoś myśli i o mnie, i o tych biednych, niezaspokojonych kobietach STR. 15

W ŚRODKU KRZYŻÓWKA

**JAN
WOŹNICA**

SYBERIOBUS

Prawa jazdy kategorii D nie miał nikt, ale skoro autobusem będzie podróżowało 9 osób, to spokojnie można zmienić jego formalne przeznaczenie na pojazd kempingowy. 12 metrów biegnących pokładu miało posłużyć za mobilny, samowystarzalny dom na trasie z Warszawy przynajmniej do Irkucka i z powrotem. Tworzenie zabudowy i montaż instalacji zajmował nam prawie każdy weekend od lutego do 15 sierpnia, kiedy to silnik Syberiobusa poszedł w ruch. Według planu, było przed nami do przejechania trochę ponad 17 tys. km, w około 32 dni. Założona dzienna średnia to 800 km. STR. 9

Umowy z drobnym drukiem pod spodem, instytucje finansowe traktujące nowych klientów lepiej niż starych, wyrafinowane strategie marketingowe mające służyć temu, byśmy kupowali niepotrzebne nam produkty i pogarszająca się jakość towarów po to, żeby częściej je wymieniać. Oto rzeczywistość, w której dziś żyjemy; duża część z nas pozornie pływa w niej jak ryba w wodzie.

Na łamach dzisiejszego numeru „Konceptu” przeczytacie jak poznać firmę, w której piękne hasła przykrywają ponurą prawdę, a pracownicy administracyjni większość czasu poświęcają zarządzaniu kosztami i temu, jak najwięcej wydusić z pracowników firmy, jak najefektywniej „redukować koszty” i „optymalizować produkcję”. Nie są to oczywiście zwyczaje wyłącznie polskie, ale w naszym świecie objawiają się niewątpliwie brutalniej niż na Zachodzie. Zresztą i pracownicy nauczyli się walczyć w tej nierównej walce. Traktować bezimienną strukturę uosabianą przez działy HR i księgowości jako wroga i starać się ją jak najskuteczniej wyprowadzić w pole.

Nie inaczej jest na uczelniach, gdzie trwa odwieczna walka studentów z wykładowcami.

Jak przejść na drugą stronę i sprawić, byśmy wszyscy przestali żyć jak w westernowym saloonie, pełnym szulerów i rewolwerowców, gdzie wszyscy wszystkich próbują oszukać i każdy jest bez przerwy przygotowany na atak

Spryt tych pierwszych, bywa mocno iluzoryczny. Jeśli „pan doktor” po otrzymaniu zwolnienia z egzaminu z powodu choroby babci, potem zobaczy zdjęcia na Facebooku z wysp Kanaryjskich, to może nie być przyjaźnie nastawiony. Czasem nie zemści się na najbliższym egzaminie, a poprosi kolegę, by zrobił to na kolejnym. Wykładowca też ma swoje metody. Walka trwa. O zawieszenie broni apeluje na

tych łamach belfer, doktor Dominik Smyrgała, rysując sugestywny model psychologiczny nauczyciela akademickiego. To człowiek, któremu tak naprawdę brakuje jednego dobra i jest gotów zagryźć każdego, kto mu je niepotrzebnie odbiera. Tym dobrem jest czas. - Wszelka podejmowana przez studenta próba dyskusji na temat czasu, a zwłaszcza jego braku, powoduje zauważalne gołym okiem wysuwanie się kłów z dziąseł wykładowcy i porastanie na grzbiecie gęstym, ciemnym włosiem. Każdy belfer bowiem (wyjątki są ekstremalnie rzadkie) sam kiedyś był studentem i o ile pamięć mu służy, jest w stanie łatwo spostrzec różnicę w trybie życia przed przejściem na drugą stronę lustra - pisze Smyrgała.

A jak przejść na drugą stronę i sprawić, byśmy wszyscy przestali żyć jak w westernowym saloonie, pełnym szulerów i rewolwerowców, gdzie wszyscy wszystkich próbują oszukać i każdy jest bez przerwy przygotowany na atak? Z tego saloonu nie da się już wyjść. Ale można spróbować go przebudować i zmienić mentalność jego bywalców. Powodzenia. ■

Więcej m.in. STR. 3-6

CO NOSISZ W KIESZENI?

**BARBARA
ACHER-
CHANDA**

Żeby zrozumieć, trzeba to zobaczyć. Wystarczy wystukać na klawiaturze angielskie słowa: „every day carry” lub „essentials”, a ekran zapełni się przeróżnymi kompozycjami ułożonymi z różnych przedmiotów. Buty, słuchawki, ciemne okulary, książka, telefon. Paszport, aparat

fotograficzny, kilka koszul, ciemne okulary, zegarek. Klarnet, crokсы, laptop, saszetka z pieniędzmi. Scyzoryk, latarka, krzesiwo, zegarek, cienkopis, szkicownik, telefon. Co łączy te zestawy? - idea opowiadania o sobie przez przedmioty.

Essentiale, czyli „niezbędno-

ści” to zjawisko nowe. Polega na fotografowaniu i pokazywaniu w przestrzeni internetu rzeczy, które są niezbędne do życia. Przedmioty na tyle ważne dla ich właścicieli, że nie rozstają się z nimi lub, które zabierają, wkładają na siebie w konkretnej sytuacji. ■ STR. 8



FOTO: www.zblegiem.Czasu.pl

FOTO: Wikipedia.org/CC



STARTER

TEMAT NUMERU

BYŁO, JEST, BĘDZIE

Gdzie najtańsze, a gdzie najdroższe studia

Finansowy raj mają studenci w krajach skandynawskich i Austrii – nic nie płać uczelniom, a dodatkowo mogą liczyć na wysokie stypendia. Najgrubsze portfele muszą mieć wypiarze: studenci z Wielkiej Brytanii i Irlandii. To wnioski z raportu „National Student Fee and Support Systems” opublikowanego przez Komisję Europejską (cały raport na www.eurodesk.pl). W analizie starano się ująć wszystkie koszty, łącznie z opłatą rejestracyjną przy rekrutacji oraz kosztami wyrobienia dokumentów (np. legitymacji). Okazuje się, że w Polsce nauka na studiach I stopnia wcale nie jest bezpłatna – kosztuje średnio ok. 41 euro (patrz porównanie). Z raportu wynika też, że na rządowe stypendia może liczyć u nas ok. 20 proc. studentów (maks. grant to ponad 3300 euro/rok), a średnia wysokość stypendium socjalnego wynosi 665 euro rocznie.

Ile minimum trzeba wydać rocznie na studia (w euro):

| | |
|---------------|-----------|
| Irlandia | 2500 |
| Szwajcaria | 830 |
| Węgry | 795 |
| Hiszpania | 713 |
| Francja | 183 |
| Polska | 41 |
| Czechy | 21 |

Więcej studentów tylko na kierunkach ścisłych

Zaden uniwersytet nie otrzymał w tym roku zgody na zwiększenie limitu miejsc na darmowych studiach. Minister nauki dawał ją natomiast w przypadku uczelni technicznych i państwowych wyższych szkół zawodowych.

BARDZIEJ NIŻ NORMALNE

Najszybsze zwolnienie grupowe w historii świata

Uniwersytet Techniczny w Dreźnie zwolnił jednym mailem 37 tysięcy swoich studentów: „Twoje konto zostanie zablokowane w przeciągu 12 dni, ponieważ zostałeś/paś wykreślony/a z listy studentów” – e-maile o takiej treści dostałi wszyscy studenci niemieckiej uczelni. Tyle może zrobić w dziesięciu godzinach przypadkowe naciśnięcie enter. Stety/niestety, władze dreźnieńskiego uniwersytetu wycofały się szybko z jakże nowatorskiej formy zwolnienia grupowego studentów, przepara-

żąc zgodnie z ustawą, uczelnia publiczna, która chce zwiększyć limit miejsc na studiach powyżej 2 proc., jest zobowiązana złożyć wniosek w tej sprawie do ministra, ponieważ w tym przypadku chodzi o budżet państwa. W tym roku z tej możliwości skorzystało 51 uczelni (na 130 wszystkich szkół publicznych). Resort nauki natomiast, a dodatkowo mogą liczyć na wysokie stypendia. Najgrubsze portfele muszą mieć wypiarze: studenci z Wielkiej Brytanii i Irlandii. To wnioski z raportu „National Student Fee and Support Systems” opublikowanego przez Komisję Europejską (cały raport na www.eurodesk.pl).

Masz prawo tylko do jednego stypendium

No i wszystko już jasne w kwestii stypendiów: studenci uczący się jednocześnie na kilku kierunkach studiów mogą otrzymać tzw. stypendia motywacyjne tylko na jednym z nich – orzekł Trybunał Konstytucyjny. Wyjątkiem jest sytuacja, w której student do zakończenia studiów licencjackich uczy się na studiach drugiego stopnia, by uzyskać tytuł magistra lub równorzędny. Przed TK doszło do zderzenia argumentów resortu nauki i Rzecznika Praw Obywatelskich. Zdaniem strony rządowej, w przeszłości dochodziło do sytuacji, w których młodzi ludzie podejmowali naukę nawet na kilku kierunkach tylko po to, by zwielokrotnić pulę pobieranych stypendiów, finansowanych z budżetu państwa. - Studia na drugim kierunku to nie żadna fanaberia. Wymagający rynek pracy nakłada potrzebę rozwijania swoich kwalifikacji, a czasem konieczność przekwalifikowania się – twierdzili z kolei przedstawiciele RPO. Sędziowie Trybunału podzieliли jednak racje ministerstwa. - System stypendiów, w szczególności stypendiów motywacyjnych, opiera się na regule „każdemu według jego zasług”. Konstytucja dopuszcza jednak modyfikowanie takiej formuły sprawiedliwości,

np. poprzez formułę „każdemu według jego potrzeb” – zauważył TK w uzasadnieniu swojej decyzji.

Kredyt studencki, czyli problem młodych magistrów

Wygłąda na to, że świeżo upieczeni magistry padli ofiarą fuzerek ustawodawczej – będą musieli zacząć spłacać swój kredyt studencki zaraz po ukończeniu studiów, a nie dwa lata później. Zgodnie z ustawą splot kredytu rozpoczyna się po upływie dwóch lat od ukończenia studiów. Banki jednak za tę datę uznają dzień wypłaty ostatniej transzy. W efekcie, jeżeli student zrezygnuje z kredytu po odebraniu dyplomu studiów pierwszego stopnia, ale będzie się dalej kształcił, bank zacznie domagać się spłaty rat tuż po ukończeniu studiów magisterskich. To zdecydowanie utrudni sytuację absolwentów, bo pierwotną intencją było umożliwienie spłaty zaciągniętych przez nich kredytów dopiero po osiągnięciu względnie stabilnej sytuacji zawodowej. Problem tkwi we wprowadzeniu w 2006 r. systemu bolońskiego, czyli podziału studiów na licencjackie/magisterskie i braku dostosowania do niego ustawy o pożyczkach i kredytach studenckich. Przedstawiciele środowisk studenckich (m.in. Rzecznik praw studenta) chcą wystąpić do resortu nauki z prośbą o wykładnię przepisów.

Najlepsi zagraniczni studenci? Z Białorusi, Chin i Mongolii

Alena Varaksa (UAM) i Aliaksandr Bialiajev (ALK) z Białorusi, Kun Zheng z Chin (AGH) i Namuun

Dashbold z Mongolii (AGH) - to najlepsi zagraniczni studenci uczący się w Polsce, zwycięzcy IV edycji konkursu „Interstudent 2013”. Warunkiem udziału były dobre wyniki w nauce i aktywność w środowisku studenckim. Naszej redakcji przypadła do serca zwłaszcza Namuun Dashbold, studentka krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Nie tylko skończyła studia inżynierskie na kierunku Metalurgia z wynikiem 5.0 z wyróżnieniem. Ale też chcąc pomóc studentom z Mongolii w nauce języka polskiego

NAGRODY ZA WSPÓŁPRACĘ ZE STUDENTAMI

PROJUVENES 2013 rozdane! To wyróżnienia za współpracę ze studentami



Rozdano statuetki PROJUVENES 2013 dla instytucji, firm i osób odznaczających się wyśmienitą współpracą ze studentami. Nominowanych było 18 podmiotów, z których wyłonionych zostało 6 zwycięzców. Ważne, że tym

razem o przyznanie nagród zdecydowali studenci, którzy swoje głosy oddawali przez Facebooka.

- Wśród laureatów nagród PROJUVENES 2013 znaleźli się:**
- w kategorii Firma dla edukacji: KGHM Polska Miedz
 - w kategorii Niepełnosprawność bez barier: Niewidzialna wystawa
 - w kategorii NGO: Fundacja 2065 im. Lesława A. Pagi
 - w kategorii Praktyki i staże: Mars Polska
 - w kategorii Media: Program „Flesz” WNPiD UAM
 - w kategorii Studencki projekt roku: Mentorzy e-biznesu Organizatorem imprezy był Parlament Studentów RP, a patronami gali PROJUVENES 2013: Wojewoda Mazowiecki (patronat honorowy); Marszałek Województwa Mazowieckiego (patronat honorowy); „Rzeczpospolita” (patronat medialny); „Perspektywy” (patronat medialny) oraz „Koncept” (patronat medialny).

z kolegą Tulgą Tumen-dalai stworzyli i wydali za własne pieniądze pierwszy na świecie słownik polsko-mongolski, zawierający 36 tys. haseł. - Zwracaliśmy szczególną uwagę na tych kandydatów, którzy swoimi działaniami przyczyniają się do integracji środowiska akademickiego, popularyzując wiedzę o swoim rodzinnym kraju w Polsce, a zarazem są ambasadorami naszego kraju w swoich ojczyznach – powiedziała przewodnicząca kapituły prof. Marta Kicińska-Habior z UW.

I KTO TU JEST FRAJEREM?



Mój świętej pamięci dziadek regularnie padał ofiarą wszelkiej maści oszustów. A to żule ze starym, ale jarym numerem „na wnuczka”, a to kobieta pochodzenia romskiego (która jeszcze wtedy nazywała się Cyganka) pożyczająca paręset złotych na „leki dla dziecka”, a to pochodzenia polskiego „panie z administracji” sprawdzały stan balkonów i dawały zaprosić na kawę, podczas gdy ich wspólnicy płądrowali mieszkanie. Żeby było jasne, dziadek nie był jakimś tam niewykształconym matolem, jakich dziś nie brakuje i na katedrach uniwersyteckich. Znal równocześnie matematykę i filozofię, łacinę i grekę, bo uczył się w czasach, kiedy ludzie nie dzielili się na humanistów i ścisłych, tylko na wykształconych i nie. Jednak umiejtność symulacyjnej gry w szachy i skomplikowane publikacje o zastosowaniu komputeryzacji w księgowości, zanim ta komputeryzacja w ogóle powstała, nie były go w stanie uchronić przed niepotrafiącymi zliczyć do trzech

CZY PRACODAWCY SZANUJĄ PRACOWNIKÓW? TAK, ALE TYLKO CI MĄDRZY

WITOLD SKRZAT

Dla wielu polskich pracodawców, pracownicy to wydatek, żło konieczne, ból na koniec miesiąca. Jednak takie myślenie ogranicza szanse na długofalowy sukces. Jak naprawdę traktuje się pracownika?

Na hasło „kapitał społeczny w biznesie” część przedsiębiorców w Polsce reaguje głuchą ciszą. Niektórzy przyznają wprost: nie wiem o czym mowa. Bo kapitał owszem, mają, lubią, gromadzą, ale to ten wyznaczany wprost przez ilość biletów Narodowego Banku Polskiego w kasie. Tymczasem jak twierdzi m.in. prof. Francis Fukuyama, filozof i ekonomista, kapitał społeczny to jedna z kluczowych przewaag konkurencyjnych sprawnych firm i korporacji, stymulator wydajności, a w rezultacie długofalowy dostarcyciel wyższych zysków. Zgadza się z tym Krzysztof Kwiecień, dyrektor HR w Deloitte, pracownik jednej z największych korporacji na świecie, zatrudniającej ponad 200 tys. ludzi w 150 krajach. Jednocześnie menedżer przyznaje, że w Polsce wiele firm, także tych zagranicznych, lekceważy kwestię kapitału społecznego.

- Decyzja, w którą stronę iść to kwestia odpowiedzi na pytanie, jak traktujemy ludzi w firmie. Czy szufladkujemy ich jako koszty, obciążenia i stawiamy po stronie wydatków; a może myślimy o nich w kategoriach aktywów firmy, które można zwiększać? Jako Polska wciąż jesteśmy na etapie przejściowym, w którym kosztowe podejście dominuje na rynku pracodawców – ocenia Krzysztof Kwiecień.

POKUSA NA KRÓTKO

Zdaniem specjalistów od rynku pracy, nie mamy jednak czego się wstydić na tle Europy Zachodniej. Tam też nie brakuje organizacji, w których są pięk-



Politykom wojny ze związkami czasem się przydają, biznesmenom nigdy

ne hasła a rzeczywistość skrzeczy. Głównym motywem ignorowania możliwości budowania więzi, zaufania, okazji do rozwoju dla pracowników jest sytuacja niepewności gospodarczej. Ta często wymusza krótkoterminową strategię biznesu.

- W krótkim terminie, ścinanie kosztów osobowych do minimum może wyglądać na atrakcyjną metodę. Jednak dla firm z większą wyobraźnią i długofalowymi planami, takie podejście jest drogą donikąd. Lepiej wzmacniać ludzkie aktywa, podnosić kwalifikacje pracowników, dbać o motywację w zespole – twierdzi menedżer z Deloitte.

Brzmi pięknie, tylko czy przystaje do kryzysowej rzeczywistości państwa na dorobku? Dla firm z solidnymi podstawami finansowymi, spójnienienie gospodarcze nie powinno być pretekstem do zwrotu w strategii zarządzania zasobami ludzkimi. Może być za to szansą.

- W trudnych czasach warto zacisnąć zęby i oprzeć się pokusom szybkich cięć. Wówczas w okresie prosperity nie zabraknie nam talentów, renowy, zespołów gotowych wykorzystać hossę. Kryzys może być okazją na podkreślenie różnicy między świadomością kapitału społecznego firmą a jej konkurencją, co docenią potencjal-

ni pracownicy, jak i konsumenci, klienci – uważa Krzysztof Kwiecień.

CUKIER GINIE, ZYSKI SA

Strategię trzymania wysokich standardów w kryzysie konsekwentnie stosuje m.in. Solaris Bus&Coach, jeden z największych producentów autobusów w Europie. Wielkopolska firma zatrudnia niemal 3,5 tys. osób.

- W naszej historii mieliśmy wiele wahań na rynku, jednak nigdy nie prowadziliśmy zwolnień grupowych. Jesteśmy duża firmą, z korporacyjnymi ambicjami, ale jednocześnie całość biznesu skupiona jest w rękach rodziny. To skutecznie scala nas wokół wartości państwa na dorobku? Dla firm z solidnymi podstawami finansowymi, spójnienienie gospodarcze nie powinno być pretekstem do zwrotu w strategii zarządzania zasobami ludzkimi. Może być za to szansą.

- W trudnych czasach warto zacisnąć zęby i oprzeć się pokusom szybkich cięć. Wówczas w okresie prosperity nie zabraknie nam talentów, renowy, zespołów gotowych wykorzystać hossę. Kryzys może być okazją na podkreślenie różnicy między świadomością kapitału społecznego firmą a jej konkurencją, co docenią potencjal-

BARDZIEJ NIŻ NORMALNE

z taśmy produkcyjnej, jednak firma rozwija się w mocnym tempie, bez związków zawodowych, za to z mocną grupą pracowniczych liderów.

- Nie potrzebujemy związków. Staram się wciągać wszystkich pracowników w życie firmy, stwarzając im możliwości rozwoju, jak i pokazując, że tu nie chodzi tylko o zyski właścicieli. Stąd np. zdecydowałam o budowie przyfabrycznego żłobka dla kilkudziesięciu dzieci. Rodzice są zachwyceni – przekonuje Solange Olszewska.

KOCHANE ZWIĄZKI

Jak poznać firmę, w której piękne hasła przykrywają ponurą prawdę? Zdaniem specjalistów, trzeba spojrzeć czym zajmują się pracownicy administracyjni. Jeśli zdecydowaną większość czasu pochłania im zarządzanie kosztami, księgowości, analiza wydatków, to znaczy, że w korporacji króluje kosztowe podejście do pracowników.

- Jeśli zaś administracja zajmuje się głównie organizacją szkoleń, programami motywacyjnymi, czy wsparciem zespołów wewnątrz firmy, to mamy do czynienia z korporacją mnożącą społeczny kapitał – ocenia Krzysztof Kwiecień.

Tomasz Misiak, współwłaściciel Work Service, największej w regionie spółki w sektorze usług personalnych zaznacza, że Polska gospodarka musi mocniej akcentować przewagę tego ostatniego modelu funkcjonowania firm.

- Większość naszego biznesu to spółki oparte na ludziach a nie patentach czy surowcach. Królują usługi, nie technologie. A usługi to ludzie, to w nich trzeba inwestować – tłumaczy Tomasz Misiak.

Przedsiębiorca przyznaje, że w Work Service funkcjonuje kilka związków zawodowych. Jednak wbrew obiegowym opiniom nie są one hamulcowym rozwojowi. Takie obawy wynikają z medialnego efektu przesadnie silnej pozycji związków w państwowym korporacjach.

- W dobre zarządzanych prywatnych firmach związki są sprzymierzeńcem. Umiejętnie wciągnięte do gry, traktowane po partnersku okazują się bardzo pomocne. Relacje pracodawca-pracownik nie muszą oznaczać stanu cichej wojny – ocenia Tomasz Misiak.



DLACZEGO WYKŁADOWCY GRYZĄ

DR DOMINIK SMYRGAŁA
autor pracownikiem Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Roznoważonego Rozwoju Collegium Civitas, kierownikiem studiów podyplomowych w obszarze bezpieczeństwa energetycznego

Akademicy i studenci – jak nasze codzienne zmagania ze sobą nauką, skrzeczącą rzeczywistością i biurokacją uczelnianą wygładają po obu stronach lustro? W tym i kolejnych artykułach postaram się udowodnić tym czytelnikom „Konceptu”, którzy są studentami, a i przypomnieć kolegom akademikom, że wykładowca też człowiek, dzięki czemu być może relacje wzajemne uda się czasem sprowadzić z poziomu ostrzeliwania się z za węgła do brydżowej licytacji przy zielonym stoliku

Zaczynamy od kompresji czasu. Przez termin należy rozumieć dwa zupełnie różne zjawiska. Pierwszy pochodzi z lat studenckich i oznacza chemiczne zakrzywienie czasoprzestrzeni, którego celem było na przykład przeżycie nocnej podróży w Bieszczady podziemnym nazywanym „Zagórska Zmora” w zatoczonym korytarzu (lub podobnego ekstremalnego doświadczenia turystycznego) i będzie jeszcze o nim mowa w dalszej części tekstu. Znaczenie drugie odnosi się do naturalnego zjawiska towarzyszącego życiu każdego wykładowcy, postępującego z każdym rokiem kariery. Mianowicie z doby, nominalnie trwającej 24 godziny, z czasem zaczynają odpaść kolejne minuty i kwadransy. Wykładowca musi zatem skraćć czas, który przeznaczana na różne czynności życiowe. Oczywiście, w pierwszej kolejności obcina te odpowiedzialne za sen i wypoczynek, co powoduje, że często funkcjonuje w stanie permanentnego przemęczenia, co odbija się negatywnie na jego formie psychicznej i fizycznej. Zarazem świadomość nieuchronności pogłębia się zjawiska powoduje, że wszelka podejmowana przez studenta próba dyskusji na temat czasu, a zwłaszcza jego braku, powoduje zauważalne gołym okiem wysuwanie się kłów z dziąseł wykładowcy i porastanie na grzbiecie gęstym, ciemnym włosiem. Każdy bełfer bowiem (wyjątki są ekstremalnie rzadkie) sam kiedyś był studentem i o ile pamięć

mu służy, jest w stanie łatwo spostrzec różnicę w trybie życia przed przejściem na drugą stronę lustra. Przede wszystkim widzi, że:
▶ student nie musi szykować sylabusów na zajęcia zgodnie z zasadami procesu bolońskiego, ani też samych zajęć, co jest równie czasochłonne, jak wykonywanie się do tych zajęć, czego student przeważnie i tak nie robi;
▶ student nie musi egzaminować, ani sprawdzać kolejnych wersji licencjatów i prac magisterskich, bo przeważnie pisze tylko po jednej sztuce każdej (o ile pisze), a nie ma ich -naście albo -dziesiąt do wypromowania każdego roku;
▶ student przeważnie nie ma dzieci, którymi trzeba się opiekować, gdy są chore, chodzić z nimi na szczepienia, do lekarza, przedszkola, szkoły, na zajęcia dodatkowe, itp.;
▶ nad studentem przeważnie nie wiszą zobowiązania typu zaległe artykuły, monografie, publikacje, wnioski grantowe i inne niezbędne działania potrzebne do rozwoju zawodowego;
▶ wie również z własnego doświadczenia, że studenci notorycznie oddają się kompresji czasu różnymi metodami: chemicznymi (wiele wariantów), społecznymi (imprezy wszelkiego typu, osobniki płci przeciwnej, sport), mieszanymi (społeczno-chemiczne), cyfrowymi (gry komputerowe,



U faceta cierpiącego na permanentny brak czasu tolerancja na drobne kłamstwa jest mocno zaniżona

filmy, itp.), w pierwszej kolejności (rzecz jasna) obcinając czas potrzebny na naukę; z tej samej przyczyny wykładowca wie, że student zostawia sprawy nauki na absolutnie ostatnią chwilę, ponieważ z punktu widzenia pozycji społeczno-towarzyskiej w grupie rówieśniczej ma ona niewielkie znaczenie;
▶ wykładowca jest skłonny przyznać, że student niekiedy pracuje zawodowo, aby się utrzymać, ale i tak wykładowca myśli przede wszystkim o swoich chałturach, którymi musi ratować rodzinny budżet wobec niegwarantujących minimum poczucia godności osobistej zarobków kadry akademickiej w Polsce;
▶ ale co najgorsze, dopóki wykładowca nie osiągnie stopnia doktora habilitowanego, czyli nie zostanie samodzielnym pracownikiem naukowym, tak naprawdę sam cały czas jest studentem, podlegającym ocenom i recenzjom, tak więc dzieli ze swoimi uczniami wiele ograniczeń, zarażeniem nie mogą cieszyć się przywilejami. Stąd też moja serdeczna rada: zanim sięgniecie w rozmowie z wykładowcą po argument braku czasu, pomyślcie, że być może nie tylko właśnie zarwał n-tą noc z rzędu, ale

Wszelka podejmowana przez studenta próba dyskusji na temat czasu, a zwłaszcza jego braku, powoduje zauważalne gołym okiem wysuwanie się kłów z dziąseł wykładowcy i porastanie na grzbiecie gęstym, ciemnym włosiem

także na skutek kolejnych genialnych reform systemu opieki zdrowotnej musi zorganizować cztery wizyty lekarskie, aby wyleczyć dziecko ze stosunkowo prostej dolegliwości (lekarz pierwszego kontaktu - chirurg rejonowy - przychodnia przy szpitalu - zabieg). Szanujcie czas swój i wykładowcy, bo jest to surowiec nieodnawialny.

MONIKA TOPPICH
współpracownik fundacji "Nowe Media", studentka historii

Zabawa zaczyna się już przed maturą, kiedy wystarczy jeden mail czy telefon i za przysłowiowe 50 złotych można mieć gotową prezentację maturalną – wystarczy podać temat, dostaje się szkic pracy. Po zaakceptowaniu zarysu przez „klienta” i jego nauczyciela, a także – oczywiście – wpłacie pieniędzy, kompletna paczka maturalna trafia do delikwenta w ciągu kilku dni. Zawiera bibliografię, materiały dodatkowe, no i samą pracę. Potem wystarczy już tylko „wykuć” na pamięć i można liczyć na to, że przynajmniej usną maturę będzie się miało w kieszeni.

A kiedy uda się już dostać na studia, dlaczego nie skorzystać ponownie z usług wykwalifikowanej firmy? Wiele z nich zajmuje się już wieloma dziedzinami równocześnie - i tak, wykonując telefon, zostaje się po krótkim czasie przelazonym do działu pisania prac semestralnych na kierunkach ścisłych albo humanistycznych. Można zlecić też samo zrobienie zestawień, bibliografii, jeśli wciąż jest się na tyle ambitnym, żeby dalszy ciąg roboty wykonać samemu.

Tu oczywiście nie jest już tak tanio – i jak tu nie narzekać na smutną dolę studenta! Najczęściej taka przemyślność kosztuje już kilkaset złotych, więc jeśli ma się do napisania kilka prac semestralnych, rocznych, a potem licencjat i magisterkę, poważną alternatywą staje się przeżycie dnia za 5 złotych, bo wszystko inne idzie na pomoce naukowe. A właściwie na to, żeby wszelkie pomoce elegancko kurczyły się na półce, skoro i tak ktoś inny zrobi, napisze, wydrukują.

W zamian dostaje się sporą dawkę wolnego czasu (który zgodnie z zasadami powinno się przeczekać na naukę), kompletny zestaw informacji, wyciągi z potrzebnych lektur, żeby nie trzeba było się przemęczać i zapewnienie o absolutnej dyskrecji i wykorzystaniu danych klientów tylko do celów aktualnej transakcji. A potem wystarczy już tylko przeczytać „swoją pracę”, żeby nie skończyć jak legendarny już student Politechniki Warszawskiej, który prosił media o interwencję, bo podczas obrony pracy był przez komisję „szczegółowo dopytywany” o zawartą w niej treść.

Takiego zachowania nie pochwalą większość studentów z bardzo prozaicznych powodów – po pierwsze nie wszystkich stać na to, żeby zapłacić komuś za robotę, po drugie, jak twier-

ILE KOSZTUJE ZMARNOWANIE STUDIÓW

Zeby studiować, nie trzeba już tylko mieć głowy na karku; opcją „b” jest dość zasobny portfel i umiejętność korzystania z przeglądarki internetowej. Wypiecjalizowane firmy są w stanie odwalić za delikwenta większość „brudnej roboty”



dzi Paweł: „skoro wszyscy dostajemy taki sam papier, to niech będą takie same szanse”. No i wreszcie po trzeciej – jest spora grupa idealistów, która twierdzi, że skoro już poszła na studia, to chciałaby jednak się czegoś nauczyć.

Jak dodaje Agnieszka: „Na studiach wiele rzeczy można kupić. Prace to jedno, ale dobrze opracowane notatki, pytania z wcześniejszych lat to również gorący towar. Na jednych wydziałach takie coś jest przekazywane między rocznikami i to jest w porządku, ale na innych trzeba wyciągnąć trochę kasy z portfela, żeby zdobyć jakieś ciekawe materiały”.

Już od dawna nikt nie twierdzi, że studia są elitarne. Zaczyna brakować fachowców z wielu dziedzin, bo znaczna część osób jak z kłapkami na oczach idzie na studia, bo „tak trzeba” albo „mama każała”. Pytanie tylko, czy studiowanie, które polega na tym, że wkuje się trzy skrypty, a potem zapłaci kilkaset złotych, wciąż jest studiowaniem, czy zwyczajną stratą pięciu lat życia, z których nie będzie wynikała żadna wiedza.

Na studiach wiele rzeczy można kupić. Prace to jedno, ale dobrze opracowane notatki, pytania z wcześniejszych lat to również gorący towar

POBUDKA! KASA TO NIE WSZYSTKO

JAKUB BIERNAT
Sociolog, dziennikarz TVP

Ci, którzy pamiętają koniec komuny, pamiętają też szalone nadzieje, że jak to się wszystko skończy, wreszcie będzie jak na Zachodzie. Życie w zmarniałym, pogrążonym się w kryzysie kraju konfrontowane było bowiem z obrazkami zza żelaznej kurtyny – gdzie królował dobrobyt, a w sklepach można było, o tak, kupić nawet szynkę bez kolejki, nie mówiąc o samochodach, telewizorach i benzynie bez kartek. Wydawało się wtedy, że wprowadzenie gospodarki rynkowej załatwi sprawę, wkroczymy do królestwa powszechnego szczęścia. Tymczasem od 20 lat transformujemy się i brniemy po kolana w błocie do upragnionego zachodniego standardu. I prawdę mówiąc, sam nie wierzę, że za mojego życia dobrniemy.

dzie pełne sklepy, ale też niestabilność i niepewność jutra – w konsekwencji lęk i frustrację. To jedna strona naszych kłopotów. Druga to państwo. Demokracja – szczególnie tak upartyjniiona jak w Polsce, nie oznacza automatycznie, że interesy obywateli będą dostrzegane i realizowane. Można by więc usiąść i zapłakać, ale na szczęście demokracja przyniosła nam również kapitalną sprawę – wolność stowarzyszania się i wspólnego działania. I jest to najbardziej naturalny, choć pewnie nie najłatwiejszy sposób porażenia siebie z naszymi problemami. Nie chodzi bynajmniej o tak zwane NGO – które pojawiły się na początku polskiej wolności. Czyli ogromne organizacje, hojnie wspierane funduszami z kraju lub zagranicy, które mają niewiele wspólnego z żywiolową ludzką aktywnością społeczną. Na szczęście dożywamy

czasów, w których społeczeństwo budzi się do życia. Powstają: niewielkie spółdzielnie spożywców – ludzi wspólnie kupujących żywność po cenach hurtowych, stowarzyszenia lokalne, oddolnie tworzone komórki związków zawodowych, czy choćby stowarzyszenia rodziców walczące o lepszą jakość systemu edukacji. Ludzie uczą się artykułować swoje potrzeby na forum publicznym.

SKĄD TEN LETARG?
Komunizm, a szczególnie jego schyłkowy okres po stanie wojennym polegał na zniesieniu ludzi do jakiegokolwiek działania. Obywatel bierny – to obywatel niegroźny. Socjologowie uważają, że represje stanu wojennego wymierzone nie we wszystkich, a w najaktywniejsze osoby, którym zniesiono życie lub których zmuszono do emi-

gracji sprawiło, że polskie społeczeństwo zamarło. W efekcie nie było w stanie zareagować odpowiednio na negatywne następstwa transformacji – która została narzucona praktycznie z góry.

Teraz, po dwudziestu latach pojawiło się nowe pokolenie nieobciążone przeszłością, które jest w stanie tworzyć nowe struktury społeczne – nie tylko oparte na dążeniu do indywidualnego zysku, ale również na dążeniu do wspólnego celu. Jest szansa, że wraz ze wzrostem aktywności społecznej, w Polsce między ludźmi pojawi się utracone zaufanie. Nie jest to proces natychmiastowy – wspólne działanie weryfikuje prawdę na temat jednostek. I usunie w cień wszelkiej maści cwaniaczków, którzy bezkarnie zatruli życie. Obywatelę jednocześnie i działajcie razem!

ROBERT BOGDANSKI
autor jest b. prezesem PAP i szefem fundacji Nowe Media

Jest taka scena w filmie „Przesłuchanie”, w której bohaterka, po wyjściu z komunistycznego więzienia, próbuje rozpocząć normalne życie i idzie do pracy w jakiejś instytucji artystycznej, chyba operetce. W więzieniu torturowała major „kapielowy” (dla tych, co nie znają filmu informacja, że ten „nick” wziął się od jego ulubionej metody postępowania z więźniami: podtapiania w lodowatej wodzie) i w wspomnienie tego człowieka jest dla niej największym koszmarem. Bohaterka czeka w sekretariacie na przyjęcie przez swojego przyszłego szefa, sekretarka ją prosi, ona wchodzi do gabinetu i widzi za biurkiem majora „kapielowego”. Bez mundurku, z szerokim uśmiechem, panującego nad sytuacją. Bohaterka mdleje. Film się kończy.

Kiedy słyszę kolejną dyskusję o tym, że Polacy mają „niski kapitał społeczny”, co się manifestuje małym zaufaniem do siebie nawzajem, czy do państwa, to zawsze przypominam mi się ta właśnie scena. Bo film się skończył, a życie toczyło się dalej.

Przez kilkadziesiąt lat po wojnie legion „majorów kapielowych” wtopił się w nasze społeczeństwo i przearżł je niczym rak. I nie mam tu na myśli tylko tych, którzy torturowali, ale wszystkich będących częścią systemu: donoszących, szantażujących, zwalnających z pracy na rozkaz, manifestujących przywiązanie

Jak już się ludzie odważą i zbiorą podpisy, to ich głos spotyka się z lekceważeniem i pogardą, a podpisy wyrzucane są do kosza. Ci nieufni to nie są głupi ludzie. Oni trzeźwo oceniają sytuację

do władzy i pilnie patrzących, czy ktoś obok jest nie dość gorliwy. Często obrońcy swojego zaangażowania w budowę „nowego ładu” szermują argumentem, że przecież w PZPR było 2,5 mln ludzi i tak naprawdę to ogromny procent społeczeństwa współpracował z władzą. Tylko ten argument ma swoją drugą stronę: pokazuje, jak wielki był stopień moralnej korupcji i jak bardzo osaczeni byli w tym społeczeństwie ludzie, którzy starali się żyć normalnie. Ludzie, którzy musieli żyć obok świetnie się mających „kapielowych”.

Jaki był poziom zaufania tych ludzi? Zaufania do znajomych, do kolegów z pracy, do państwowych instytucji? Retoryczne pytanie. Gdyby był wysoki, to świadczyłoby wyłącznie o bezdennej głupocie społeczeństwa. A to społeczeństwo nie było głupie, ono było zrąbane.

Zranienia przetrwały do dziś. I będą goić się jeszcze długo. Niedawno rozmawiałem z kolegą, który często jeździ w tak zwany „teren”, czyli w miejsca, których ludzie z miasta nie odwiedzają nawet w wakacje.

Ja zacząłem narzekać, że trudno dziś, AD 2013, namówić ludzi na podpisanie jakiegoś listu, choć przecież nic im za to nie może grozić. On spojrzal na mnie z politowaniem i opowiedział o swojej wizycie w pewnej wsi, gdzie ludzie nie biorą udziału w wyborach. Jedyna partia, na którą by głosowali to PiS, ale boją się, że „jak PiS wygra, to ruskie wejdą...”. Rok Pański 2013.

Więc bronie nieufności tych ludzi. Mają do niej prawo. Tym bardziej, że nowe państwo, już niepodległe, niewiele robi, aby przelamać i zatrzeć pamięć o czasach „kapielowych”. I jak już się ludzie odważą i zbiorą podpisy, to ich głos spotyka się z lekceważeniem i pogardą, a podpisy wyrzucane są do kosza. Ci nieufni to nie są głupi ludzie. Oni trzeźwo oceniają sytuację. Państwo, którego wszystkie organy mówią im, że pieniądze odkładane na ich emeryturę nie są ich własnością i czyni właśnie przygotowania do ich przejścia z powodu problemów budżetowych, nie wzbudza zaufania. Wzbudza?



PAPIEROWA PIRAMIDA

MARCIN ROSOŁOWSKI
specjalista ds. komunikacji społecznej

Internet, czyniąc ze świata globalną wioskę, położył kres epoce wirtuozów medialnego oszustwa. Nie chodzi o mniej lub bardziej wyrafinowaną manipulację, żonglerkę socjotechnicznymi sztuczkami, drobne kłamstewka, tylko o oszustwa realizowane z filmowym rozmachem

Internet sprzyja co najwyżej naciągaczom, ale współczesnych Münchhausenów demaskuje w mgnieniu oka. Ież bardziej perspektywiczna była pod tym względem era niepodzielnego panowania prasy drukowanej, kiedy wieści przeczytane w gazecie traktowano z czcią i nabożeństwem... Dziś wiemy, kim jest Madoff, a kto pamięta o Marcie Hanau?

A chodzi przecież nie o pierwszy lepszy przekręt, lecz o aferę, która osiemdziesiąt pięć lat temu wstrząsnęła Francją. Jej animatorka wykazała się tyleż znakomitą znajomością psychologii, co siły mediów.

Lata dwudzieste ubiegłego wieku nie tylko w Ameryce były latami odregowania koszarowego wojny światowej i czasem gospodarczej prosperity. Również Europa bawiła się i bogaciła, wierząc, że po tym, jak sięgnęła dna, przyszedł czas na nieustający wzrost. Już za kil-

ka lat Wielki Kryzys miał miliony Europejczyków brutalnie odrzucić z tych złudzeń, na razie jednak bawiono się wyśmienicie. Spekulacja papierami wartościowymi wydawała się najprostszą i najlepszą drogą do bogactwa, inwestowano więc na potęgę.

W 1925 roku Hanau wraz ze swoim byłym mężem, nazwiskiem Bloch, zakłada tygodnik pod pompatycznym tytułem „Gazeta Franka i Narodów”. Do tego piśmka ściągają – płacąc bardzo dobrze – świetnych dziennikarzy, nie szczędzi również funduszy na kampanię promocyjną. Nieźle redagowane, radykalne w swoich opiniach o wielkim kapitale pismo chwyciło. Jednak to nie na sprzedaży duet Hanau-Bloch planował zrobić prawdziwe pieniądze.

Otóż „Gazeta” publikowała życziwe informacje o spółkach prowadzonych przez współpracowników właścicieli. To, że większość z nich była zwykłymi wydmuszkami,

nastawionymi na wyciągnięcie pieniędzy z kieszeni łatwowiernych inwestorów, nikt z czytelników oczywiście nie mógł wiedzieć. Publikacje tygodnika powiększały grono osób, kupujących akcje wychwalanych spółek. **Był to model klasycznej piramidy finansowej: dopóki rosło grono inwestorów, rosła wartość akcji.** Szczęśliwcy, którzy pomnożyli wielokrotnie swoje wkłady, stawali się żywą reklamą przedsięwzięcia. Marta Hanau postanowiła zwiększyć stawkę: założyła ekonomiczną agencję prasową, która oferowała największym francuskim dziennikom serwis na znacznie korzystniejszych warunkach, niż największa, renomowana agencja Havas. Oczywiście w ten sposób rekomendacje „zyskowych” przedsięwzięć mogły sięgnąć poza łamy „Gazety Franka”. W 1928 roku rzuciła rękawicę największym instytucjom finansowym, emitując krótkoterminowe, ośmioprocentowe obligacje, oferując inwestorom udział w zyskach sięgający... czterdziestu procent.

Licytacja była zbyt ostra. Banki i agencja Havas przystąpiły do kontrofensywy. Zaczęto stawiać niewygodne pytania, dociekać zaplecza finansowego i powiązań spółek, badać relacje Hanau i Blocha z politykami. W grudniu 1928 roku para oszustów trafiła do więzienia. **Hanau rozpoczęła długą batalię o uniewinnienie, używając klasycznego dziś chwytu – „jak mnie wypuszczą, oddam wszystko**

z dużą nawiązką”. Wyrok opiewał tylko na dwa lata więzienia, jednak gdy po szybkim wyjściu ujawniła fragment tajnego raportu policyjnego, dotyczącego jej sprawy, znowu trafiła za kratki, tym razem pod zarzutem posiadania kradzionych dokumentów. Z więzienia już nie wyszła. Znalaziono ją otrutą przemyconymi do celi pigułkami nasennymi. Kto pomógł jej w przeniesieniu się na tamten świat, pozostaje do dziś tajemnicą.

Gdyby Hanau grała ostrożnie, zapewne wszystko nie tylko uszłoby jej na sucho, ale zagrałaby wierzycielom na nosie. Koniec 1929 roku przyniósł Wielki Kryzys, a wartość akcji stawała się często z godziny na godzinę mniejsza, niż wartość papieru, na którym je wydrukowano. **Finansowa piramida, podtrzymywana przez prasę, rozplynęła się niepostrzeżenie w ogólnym chaosie. Odetchnęli politycy, i dziennikarze zamieszani w manipulacje.**

Ta sprawa miała również inny wymiar: rzuciła cień na świat dziennikarski. Dziennikarze w tym przypadku nie byli nieświadomymi narzędziami w rękach oszustów, ale ich współnikami. Ci, którzy publikowali fałszywe informacje o spółkach, otrzymywali dziesięć razy więcej, niż wynosiły rynkowe stawki. Wielu z nich w ciągu trzech lat dorobiło się niezłego kapitału. Czwarćta władza okazała się nie mniej skorumpowana i niegodna zaufania, niż pozostałe trzy...

WALT DISNEY BANKRUTOWAŁ 5 RAZY – UODPORNIJ SIĘ NA BEZROBOCIE

JAROSŁAW GAJEWSKI
wiceprezident „Konceptu”

Brak roboty jest w Polsce podlany sosem wstydu, obciachu i wykluczenia. A czy wiecie, że Walt Disney zanim zbudował swoją fabrykę filmowych snów, pięć razy zostawał bankrutem? Było to możliwe, bo facet nie oglądał się na państwo, pomoc, nie utyskiwał i wzrastał w kulturze, która chwilowe upadki traktowała jako szanse

Jest taki całkiem trafiony dowcip, jak to rektor pewnej nobliwej uczelni mówi: - Poważnie zastanawiam się, czy nie otworzyć u nas nowego kierunku studiów: Bezrobocie. – Nie rozumiem, szefie – dziwi się współpracownik. – To proste. Chodzi o to, żeby nasi absolwenci byli jak najlepiej przygotowani do wejścia na rynek pracy. Cholera wie tak naprawdę, czy to kawał. Bo patrząc na dzisiejsze trendy i wskaźniki, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że „lepiej to już było”, szanowna ferajno. Już blisko co trzecia młoda osoba (do 34. roku życia) nie ma roboty, w tym ponad 250 tys. absolwentów uczelni. Nakładając to na mapę Europy, sytuacja jest nieco schizofreniczna: mamy najlepiej wykształconych bezrobotnych. I wisienka do tego tortu – w ciągu dwóch najbliższych lat rynek pracy zaleje fala ok. 1,3 mln magistrów. To absolutny rekord w historii Polski.

wyższych ze światem biznesu, czy szerzej – rynku pracy jest owocnym standardem. Bliżej natomiast (niestety) do

se, a nie położenie się do snu w trumnie. W tym kontekście... cieszymy się, że Wałęsio nie udało się z Polski zbudować drugiej Japonii. W tamtejszej kulturze powinięcie nogi oznacza wieczne potępienie, a zdolność podejmowania do ryzyka wynosi 1 na stupunktowej skali. Tylko 1 proc. młodych Japończyków marzy bowiem o założeniu własnej firmy, a 99 proc. o dożywotniej pracy w korporacji i to najlepiej w charakterze śrubki.

dla młodych kolejnych kilka miliardów euro (ponad 6 już wylażyła w ostatnich latach). W Polsce jak nie ma pomysłu na załatwienie jakiegokolwiek problemu, powołuje się różnej maści komisje; bezradność Unii w rozwiązywaniu problemów przejawia się natomiast w wykładaniu kolejnych transz pomocy finansowej. Nie bądźmy naiwni – te pieniądze zapewnią tyle, że na bezrobocie nie pójdą ci, którzy będą je redystrybuować.

A W PARYŻU BYŁO „A” I „E”
12 listopada z wielką pompą odbyło się w Paryżu spotkanie, na którym unijni przywódcy dyskutowali, jak walczyć z bezrobociem wśród młodego pokolenia. Jak zawsze przy takich okazjach

SPOJRZCIE NA ZARDZEWIAŁEGO.
Dajcie zatem spokój roszczeniom i utopijnej wierze, że dobra wróżka o imieniu Pomoc zapewni przyszłość o jakiej marzycie, podczas gdy wy będziecie liczyć szklanki po wypitych piwach. Zresztą, co tu mędrkować, spójrzcie na naszego Zardzewiałego (on tak naprawdę się nazywa) - studiuje sobie europeistykę, a przy okazji wpada mu do kieszeni co miesiąc kilka stówek z pisaniny do „Konceptu”. Nie twierdzi, że chce być potem dziennikarzem – porozglądał się, pleców nie miał, wykorzystał szansę i zdobywa doświadczenie, nie musząc chodzić już w podartych skarpetkach. Zresztą (i uważam, że na całe szczęście, a nie nie-szczęście), co drugi polski magister nie pracuje w wyuczonym zawodzie. Mało jest dobrych dziennikarzy po dziennikarstwie, są historycy, którzy należą do absolutnego topu finansistów, nie brakuje korpo menedżerów po AWF-ie. Wypada mieć tylko nadzieję, że nie ma jednak chirurgów po archeologii. Ale to świadczy tylko o tym, że Polska to kraj, który ma ogromną przewagę konkurencyjną nad państwami starej Unii (albo strefy

Koncept dostępny na urządzeniach mobilnych z systemem Android!

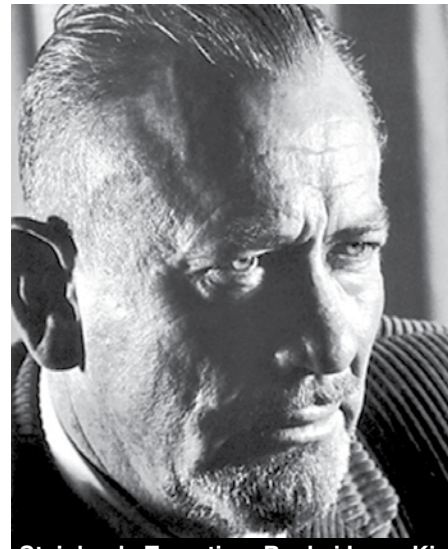
wkrótce na urządzeniach Apple i BlackBerry



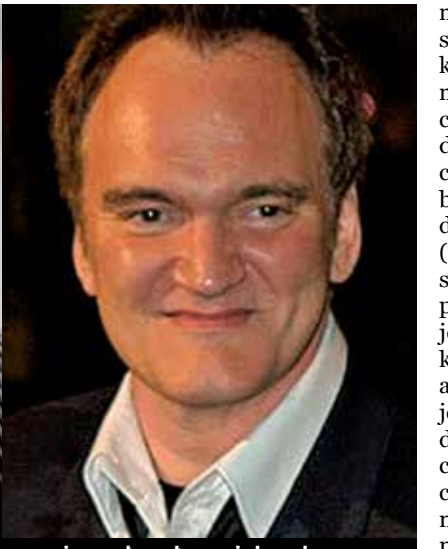
pobierz tu fotokod bądź na stronie www.gazetakoncept.pl



wszelkie uwagi prosimy kierować na e-mail: redakcja@gazetakoncept.pl



Steinbeck, Tarantino, Boyle i Larry King zanim spłynął na nich sukces żyły z zasiłku dla bezrobotnych



modelu włoskiego, gdzie powstałe niedawno na niektórych uczelniach „biura karier” wywołały wielkie „wow!”.

JAPŃSKIE KORPO ŚRUBKI
Jednym z istotniejszych wniosków płynących z obecnego kryzysu gospodarczego, jaki zadamowaliśmy w Europie i rykoszetem walnął w Polskę, jest fakt, że marzyciele projektujący nasz kraj jako państwo opiekuńcze a la kraje skandynawskie, muszą porzucić wszelką nadzieję. Im szybciej sami zadamy o swoją gruboskórność i odporność na stały element naszej rzeczywistości, jakim jest bezrobocie, tym rzadziej będziemy odwiedzać urzędy pracy. Brak roboty jest w Polsce podlany sosem wstydu, obciachu i wykluczenia. A czy wiecie, że Walt Disney zanim zbudował swoją fabrykę filmowych snów, pięć razy zostawał bankrutem? Było to możliwe, bo facet nie oglądał się na państwo, pomoc, nie utyskiwał i wzrastał w kulturze, która chwilowe upadki traktowała jako szan-



było sporo „a” i „e”, górnolotnego belkotu i zapewnień, że „trzeba zrobić wszystko, by...”. Aha, jeden konkret ujrzał światło dzienne: Bruksela przeznaczyc na pracę

euro, jak kto woli). My wciąż możemy zbudować coś od nowa i na nowo. Tamci mogą już tylko nanosić poprawki. ■

FOTO Wikimedia.org/CC



RZECZY DO RZECZY

BARBARA ACHER-CHANDA antropolog kultury, dziennikarka

Co masz w kieszeni? A pokażesz? Potrzeba opowiadania o sobie, ekshibicjonizm, lans, czy nowa forma poznania siebie? Jakby nie było essential, czyli moda na pokazywanie zawartości własnych kieszeni podbija świat

Pokaż mi co masz, a powiem ci kim jesteś – zdanie trywialne, ale prawdziwe. Zwłaszcza dziś, kiedy przypisujemy rzeczom codziennym szczególną war-



tość, kiedy nie tylko pozwalamy im za nas mówić, ale wręcz robimy z nich wizytówkę tego, kim jesteśmy lub – chcielibyśmy być.

FACECI CHĘTNIEJ POKAZUJĄ. Moda na essential w Polsce dopiero raczkuje. Tymczasem na Zachodzie temat

cieszy się sporym zainteresowaniem, co widać po liczbie forów i blogów z nim związanych. Co ciekawe, zjawisko to niemal zupełnie zdominowane jest przez mężczyzn. I o wiele bogatsze w ich wydaniu: podręczne zestawy do miasta, w góry, na rower, chowane do kieszeni, piterka, torby, plecaka – wachlarz możliwości jest tu imponujący. Tymczasem, jeśli już pojawiają się jakieś przedstawienia kobiecych „niezbędności”, zwykle związane są z damską torebką, w której znaleźć można w zasadzie wszystko.

Rodzajów essentialów jest mnóstwo. Można wyodrębnić grupy związane ze spędzaniem wolnego czasu, hobby, pracą czy pomagającymi przetrwać w trudnych warunkach. Właśnie te ostatnie cieszą się chyba największym zainteresowaniem. Zestawy EDC – Every Day Carry – czyli polskie – „codziennie noszę przy sobie” – to zbiór rzeczy, które mają pomóc przetrwać w trudnych sytuacjach życiowych, w miejskiej dżungli czy na pustyni, podczas wypadku czy katastrofy. Zestawy mogą być różne zaczynając od noża, zapalek i latarki po rozbudowane, kosztowne i zajmujące wiele miejsca rzeczy. – To, co zawiera dany zestaw EDC zależy od sytuacji, od tego, co zamierzamy zrobić, gdzie będziemy przebywać – tłumaczy Adam Tatoń, współautor bloga EDCReview. – EDC musi być praktyczny, ale dopasowany do osoby. Tu jest miejsce na dużą różnorodność. Od kolorowych, niskobudżetowych zestawów, aż po eleganckie przedmioty, dopasowane do garnituru i biurowych potrzeb – wyjaśnia.

UŁÓŻ SIEBIE

– Oglądając zestawy EDC można zauważyć, komu naprawdę zależy na praktycznej funkcji swojego zestawu, a kto dźwiga te wszystkie rzeczy dla samego dźwignia, pokazania marki sprzętu – dodaje Paweł Borkowski, drugi z autorów EDCReview.

Bo w essentialach chodzi w dużej mierze o pokazanie tego, co nas naprawdę interesuje. – Spora część to tylko gadżety, więc bardzo bezpieczna dla mężczyzny sprawa. Niemniej jest to też swoiste tylne wejście do sfery ubioru. Dzięki temu może być też zaprezentowane jednocześnie nowego smartfona, szczyrych i świetnie wypastowane buty – uważa Łukasz Kielban, autor bloga Czas Gentlemanów. Jak twierdzi, popularność essentialów to jeden z przejawów męskiego zainteresowania swoim wyglądem i podręcznymi przedmiotami, które w dzisiejszych czasach bardzo silnie określają to, jak nas widzą inni. Może dzięki temu możemy człowieka zobaczyć bliższego całości, bardziej skomplikowanego. Co bowiem mówi nam ktoś prezentujący jedynie nóż? Na przykład, że jest miłośnikiem walki, przemocy, survivalu itp. A taki co pokazuje nową poszetkę? Że dba o wygląd, lubi się dobrze ubierać, może jest lalusem, dandysem... Dopiero kiedy te przedmioty zestawimy, pokazuje się zupełnie inna osoba.

SYBERIOBUS, CZYLI POLAK POTRAFI

JAN WOŹNICA inżynier, uczestnik wyprawy Syberia 2013

Czy 25-letni autobus zamieniony w „kamper” może w dziewięć dni dojechać do Bajkału? No, może – inaczej nie byłoby poniższej opowieści ze smakowitej wyprawy, która odbyła się na przelocie sierpnia i września.

Kiedy na początku 2012 roku zaczęliśmy kreślić plany syberyjskiej wyprawy, od początku mowa była o samochodzie terenowym. Plany planami, ale życie życiem. Jesienią ktoś coś chlapanął, inny podchwycił, kolejny powiedział, że słyszał..., że zna..., że może by... autokarem.

Kiedy usłyszałem o tym pomysle, byłem sceptyczny (to delikatne określenie) – przecież to skrajnie asfaltolubny wchiku! Szczęśliwie dla późniejszych losów przedsięwzięcia, 8/9 załogi nie zaważało się i w styczniu 2013 r. autokar stał już na parkingu zaprzyjaźnionego sklepu. Prawa jazdy kategorii D nie miał nikt, ale skoro autobusem będzie podróżowało 9 osób, to spokojnie można zmienić jego formalne przeznaczenie na pojazd kempingowy. 12 metrów bieżących pokładu miało posłużyć za mobilny, samowystarczy dom na trasie z Warszawy przynajmniej do Irkucka i z powrotem.

ŁĄPÓWKI TO NIE ZMORA Tworzenie zabudowy i montaż instalacji zajmował nam prawie każdy weekend od lutego do 15 sierpnia, kiedy to silnik Syberiobusa poszedł w ruch. Według planu, było przed nami do przejechania tro-

chę ponad 17 tys. km, w około 32 dni. Założona dzienna średnia to 800 km.

Pierwsze dni na trasie – rozruchowe i trochę leniwe. Śmigaliśmy przez Litwę i Łotwę, zapukaliśmy do drzwi Rosji. I tu się zaczęło... Dobrze znane wszystkim wschodnim podróżnikom deklaracje imigracyjne były nieczym w porównaniu z wythumaczeniem pogranicznikom, że autokar jest naprawdę kamperem, ale trochę większym niż te, do których przywykli. Wszystkie jednak ułożyły się na tyle korzystnie czasowo, że do Moskwy dotarliśmy w środku nocy. O godz. 2 stolica Rosji oczywiście nie śpi,

ale ruch na ulicach pozwolił nam bardzo sprawnie dojechać na sam Plac Czerwony.

Następne dni to walka z korkami – z Moskwy w kierunku Ufy potrafilimy jechać wiele godzin 25 km/h. Pierwsze dni to też kilka obalonych mitów dotyczących Rosji: drogi nie są aż tak złe, a łapówki to nie zmora – nikt nie robił nam problemów, jeżeli byliśmy zatrzymywani do kontroli, to policjantów interesował tachograf (przyrząd kontrolujący czas prac kierowcy ciężarówki/autokaru), a nas takowy przecież nie obowiązywał.

WIERSZYNA – MAŁA POLSKA NA SYBERII

Za Ufą zaczął się Ural, a wraz z nim zmienił się kontynent. Im dalej na wschód, tym ruch robił się mniejszy, a drogi miejscami zdecydowanie gorsze (ale bez dramatu). Krajobraz Niziny Zachodniosyberyjskiej to głównie step z porozrzucanymi wyspami brzoźowymi, które towarzyszyły nam przez kilka kolejnych dni, bo poza zmianą wysokości wraz z przekroczeniem Jeniseju, dalej otaczały nas stepy. Omijając

obwodnicami kolejne miasta, noce spędzając na stajankach, kosztując lokalnych specjalistów, w zawrotnym tempie jak na 25-letni autokar, bo po 9 dniach, dotarliśmy do brzegu Bajkału.

Już następnego dnia odwiedziliśmy Wierszynę – wieś założoną na początku XX w. przez dobrowolnie emigrujących z Zagłębia Polaków. Duże zaangażowanie w utrzymanie świadomości swojej historii widać w gronie mieszkańców skupionych wokół tamtejszego Domu Polskiego. Po dwudniowym pobycie w Wierszynie, obraliśmy kurs na bajkalską wyspę Olchon. Potem czyli Wissariona, byłego milicjanta, który w trolebiju doznał objawienia, że jest inkarnacją Jezusa Chrystusa. Do dzisiaj udało mu się przekonać do tego podobno ponad milion ludzi! 400 takich rodzin mieszka w samej Pietrowalowie. Dalszą drogę przerwała nam pierwsza poważna awaria. Za Krasnojarskiem samozniszczeniu uległ rozrusznik. Skąd wziąć na Syberii rozrusznik do niemieckiego autobusu? Wrierskiego autobusu! Niech żyje szpiegostwo przemysłowe!

AUTOKAR JEST NA SPRZEDAŻ!

Zamiast szarpać się z masakrycznymi dziurami na nakręconym z możliwych objazdów terytorium Kazachstanu, wybraliśmy drogę dłuższą, ale lepszą – przez Tiument. To miasto rodużenek: granitowe chodniki, mieszkańcy ubrani wg europejskich wzorców (nie w dresach), radiowozy zachodnich marek. Ot, co oznacza ropa i gaz w nieprzystoitych ilościach.

Ostatyczny bilans to 18 187 przejechanych kilometrów, ogromna ilość wspomnień i rozbudzony apetyt na dalszą eksplorację wschodu. Rosja, bo w niej najwięcej spędziłyśmy czasu, dała nam się poznać jako kraj bezpieczny (choćby ukradziono nam drabinię i grilla – pozostawione na noc obok autokaru), przyjazny i na swój wyjątkowy sposób piękny. Jeżeli masz więc wolny miesiąc, grupę przyjaciół i parę wolnych złotych, to nie zastanawiaj się – tym bardziej, że nasz autokar jest na sprzedaż!

W 9 DNI NAD BAJKAŁ 25-LETNIM „KAMPEREM



Zainteresowanych wyprawą zapraszamy na stronę www.syberia2013.pl

WARTO WIEDZIEĆ...

- ▶ Przez duże rosyjskie miasta, samochodem najlepiej przejeżdżać nocą
- ▶ Rosja to już nie tylko dolary, warto mieć trochę rubli, a na zapas przyda się euro
- ▶ Ceny żywności są zbliżone do polskich, za to koszt litra ON i bezołojowej 95 to nieco ponad 3 zł
- ▶ Przygotowując się do wyprawy opieraj się tylko na najświeższych relacjach
- ▶ Przygotuj sobie drobne podarki dla swoich przyszłych dobrodziejów - to dobrze widziane, bo w Rosji płatny jest nawet autostop

BLOGI-RECENZJE

MARIA GAJEWSKA redaktor naczelna portalu podróżujgłowa.pl/

W KRAJNIE TĘCZY Nie, nie – nie chodzi o czarną (aktualnie) tęczę z warszawskiego pl. Zbawiciela. To blog prowadzony przez Polkę, która 6 lat temu przyjechała do RPA, decydując się na pracę w lokalnym oddziale firmy, dla której pracowała w kraju. A że kontrakt kontraktem, a życie życiem, to Johannesburg i Kraina Tęczy stały się dla niej nowym domem i ojczyzną. Podróżniczo-emigracyjny blog Blondynki wypełniony jest informacjami, które zainteresują zarówno osoby wybierające się do RPA w celach czysto turystycznych, ale i tych, którzy planują życie w Afryce. Zaletą bloga jest zdecydowana przewaga konkretnych nad

gawędzeniem. Można przeczytać o zmaganiach obcokrajowca z urzędami, opieką zdrowotną i wszystkim tym, z czym styka się w codziennym życiu. Ciekawym pomysłem Blondynki jest zakładka „Wiadomości lokalne”, w której zamieszcza informacje z lokalnych gazet i nie tylko, dzięki czemu można się dowiedzieć, co interesuje „tubylców”. Blog okraszony jest dużą liczbą ciekawych zdjęć, ilustrujących poszczególne artykuły i pokazujące podróże blogerki. Jednak to co fajne – absolutnie nie przysłaniają one treści, nie są wypełniaczem pustych przestrzeni i brakiem pomysłu na kolejny temat. Co to jest „Wielka Piątka”? Dlaczego w RPA jest więcej galerii handlowych niż w Polsce? I na czym polega dre-

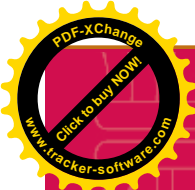
naż południowoafrykańskich mózgow? Przenieście się do dzikiej Afryki oswojanej przez polską Blondynkę, to się dowiecie.

IBEROAMERYKA

Dwa miesiące temu otrzymałam maila z zaproszeniem odwiedzenia nowo powstałego blogu - Iberoameryka, prowadzonego wyłącznie przez studentów chcących popularyzować wiedzę o regionie. Z ciekawością zaglądnęłam na stronę i zostałam mile zaskoczona. Ciekawie zaplanowana, zawierająca duży przekrój informacji począwszy od kultury, porad podróżniczych, kuchni, skończywszy na informacjach gospodar-

skich i społecznych. Od września obserwuję jak blog iberoamerykański się rozwija, a studenci nie tracą zapалу ani chęci do pracy i dzielenia się informacjami ważnymi, bieżącymi i tymi z lepszej polki. Zresztą coraz większa liczba ludzi zaangażowała się w ten projekt. Ważnych informacji nie zawsze trzeba szukać na komercyjnych stronach - na mało znanym (póki co) blogu można przeczytać zarówno o uwolnieniu porwanych emigrantów w Meksyku, o upadku wartości społecznych w Urugwaju, czy zapoznać się z twórczością Gabriela Garcii Marqueza. I przy tym, czytanie tekstów nie męczy, lecz sprawia przyjemność.





Uważacie, że cenzura filmów to zamierzczła przeszłość? Nic podobnego.

TEŃSKNOTA ZA NOŻYCAMI

WIESŁAW CHEŁMINIAK
publicysta
i krytyk filmowy,
historyk

Czy cenzura miała swoje dobre strony? Na pewno zmuszała reżyserów do główkowania, co podnosiło poziom artystyczny naszego kina. Do tego, można było na nią zwalić winę za swoją nieudolność, lenistwo czy brak talentu

Likwidacja Urzędu Kontroli Publikacji i Widowsk w kwietniu 1990 roku była traumatycznym przeżyciem dla polskich filmowców. Odtąd nie było już na kogo zwalić winy za mętne fabuły, belkotliwe dialogi i byle jaki montaż. Jaki użytek zrobili adepci X muzy z odzyskanej niespodziewanie wolności, pamiętamy. Choć lepiej byłoby nie pamiętać. Z okresu przelomu do oglądania nadaje się tylko jeden tytuł: „Ucieczka z kina Wolność”. Jak na ironię, jest to opowieść o zbuntowanym cenzorze. Amerykański pisarz William Faulkner, który parzył się również pisaniem scenariuszy filmowych, był mniej miłośny dla odwiecznego wroga wszystkich twórców. Podczas realizacji westernu „Koniokrady” dopilnował, aby personalia cenzora, który wyjątkowo załaził mu za skórę, znalazły się na sztydzie domu publicznego.

TREŚCI ANTYHUMANISTYCZNE

W PRL panowała opinia o wszechwładzy Urzędu. Świącie wierzono, że fabuła kultowego „Rejsu” nie trzyma się kupy, bo film został zmasakrowany przez sadyków z ulicy Mysiej. W rzeczywistości był to efekt radosnej improwizacji i chaosu panującego na planie.

Prawdą jest jednak, że ówczesny system kontroli był bardzo rozbudowany. Niepramienne treści eliminowano już na etapie zatwierdzania scenariusza. Zanim obraz trafił na ekrany, przechodził przez sito kilkustopniowych kolaudacji: od zespołu filmowego, w którym został zrealizowany poczynając, poprzez dyrekcję wytwórni, aż do Ministerstwa Kultury. Ostateczna decyzja należała do wspomnianego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowsk. Jeżeli twórca

lekce sobie ważył sugestie cenzorów, jego dzieło zasilalo szereg „półkowników”. Film „Ósmy dzień tygodnia” czekał na premierę ćwierć wieku. Jako oficjalny powód podano zawarte w nim „antyhumanistyczne treści społeczne i moralne”. Naprawdę kamieniem obrazy było nazwisko scenarzysty – Marka Hlaski. Po wyjeździe za granicę trafił on na czarną listę autorów, o których istnieniu nie wolno było wspominać, a cóż dopiero rozpowszechniać ich utwory.

Oprócz blokowania treści politycznie niepoprawnych, cenzura chronila obywateli przed zgorzeniem. Jakby tego było mało, w narodzie krążyła plotka, że operatorzy

AUTOCENZURA OSKAROWA

Za najlepszych speców od kastrowania filmów uchodzą Chińczycy. „Atlas chmur” odchudzili o 40 minut, ze „Skyfall” zniknęła zaś scena zabójstwa strażnika z biurowca Szanghaju, niewątpliwa plama na honorze Państwa Środka. Bardziej subtelnym

li. Nagość i nadmiar okrucieństwa podawano jako oficjalny powód niedopuszczenia do dystrybucji w krajach muzułmańskich „Listy Schindlera”. Na szczerość zdobył się tylko urząd cenzorski w Malezji, nazywając obraz Spielberga „wytworem żydowskiej propagandy”.
zów, przekonuje przykład Indii. Podobnie było w złotej epoce Hollywood. „Sympatia widzów nigdy nie powinna być po stronie zbrodni, zła i grzechu” – głosi słynny Kodeks Haysa. W praktyce najbardziej restrykcyjne były lokalne władze, które mogły zabronić wyświetlania każdego filmu, nawet opatrzonego „stemplem aprobaty”. Stan Ohio uznał na przykład, że ekranizacja „Wyspy skarbów” zachęca nieletnich do piractwa. Bywało i tak, że szeryf - zbulwersowany tym, co zobaczył na ekranie - w trakcie seansu wkroczył do kabiny projekcyjnej i aresztował taśmę razem z kinooperatorem. Najciekawiej jest, gdy za nożyce łapie sam autor. To przypadek



kinowi w wolnych chwilach wycinają z celuloidowej taśmy fragmenty z „momentami”. Pewnie po to, by po zmontowaniu oglądać je sobie na prywatnych seansach. W III RP głód ekranowej goliżny został zaspokojony z nawiązką, ale niektóre narody ciągle są na diecie. Irańscy strażnicy moralności, korzystając ze zdobyczy techniki, komputerowo dorabiają ubranka z nadmierem roznieglizowanym aktorom z zachodnich filmów i seria-

sposobem łagodzenia wymowy oryginału są „błędy w tłumaczeniu”. Jeśli film jest wyświetlany w wersji z napisami, co innego widzisz, a co innego słyszysz. Japończyk swego czasu wpadł na jeszcze inny pomysł: w scenach ich zdaniem ryzykownych, obraz nagle tracił na ostrości.

o tym, że branża filmowa może świetnie prosperować, będąc zarazem poddana drakońskiemu systemowi zakazów i naka-

„Ziemi obiecanej”, filmu uważanego za największe osiągnięcie polskiej kinematografii. Scena z Danielem Olbrychskim i Kaliną Jędrusik, baraszkującymi w wagonie restauracyjnym, przeszła przez sito PRL-owskiej cenzury. Po latach Andrzej Wajda usunął ją sam, wychodząc z założenia, że seks połączony z obżarstwem nie licuje z posagowym wizerunkiem klasyka i laureata honorowego Oscara.

4 grudnia 2013 r. mija 75. rocznica śmierci ostatniego ormiańskokatolickiego arcybiskupa Lwowa, ks. Józefa Teodorowicza (1864–1938).

W związku z tym przygotowaliśmy wydarzenia w trzech miastach:

Sobota 30 listopada
Warszawa, ul. Freta 10,
dominikański kościół
św. Jacka, g. 16.00 – **msza św. ormiańskokatolicka** w intencji abp. Józefa Teodorowicza. Po mszy św. występ kilkuosobowego chóru męskiego, wykonującego ormiańskie pieśni.

Środa 4 grudnia, g. 17.00
Katowice, plac Rady
Europy 1, Biblioteka Śląska,
sala Parnassos
Wernisaż wystawy „Wielki zapomniany. Arcybiskup ormiański Józef Teodorowicz (1864–1938) – wybitny polski kapłan i mąż stanu”.

Wystawa prezentowana będzie w Galerii Holu Głównego Biblioteki Śląskiej od 2 do 31 grudnia 2013 r.

Piątek 6 grudnia
Kraków, ul. Bernardyńska 3,
Uniwersytet Papieski
Jana Pawła II
g. 11.30 – **msza św. ormiańskokatolicka** w intencji abp. Józefa Teodorowicza
g. 13.00–18.30 – **konferencja naukowa** „Arcybiskup Józef Teofil Teodorowicz (1864–1938). Pasterz Kościoła ormiańskiego w Polsce, mąż stanu, kaznodzieja, pisarz”.

Sobota 7 grudnia – Kraków,
ul. Bernardyńska 3,
Uniwersytet Papieski
Jana Pawła II
g. 9.00–13.00 – **dalszy ciąg konferencji**.

www.dziedzictwo.ormianie.pl



Współorganizatorzy:



Patroni medialni:



Współpraca:
dominikanie

Kláštor OO. Dominikanów w Warszawie, ul. Freta 10

„Tydzień pamięci o ormiańskim arcybiskupie i polskim patriocie – Józefie Teodorowiczu” dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach programu „Patriotyzm Jutra”.



Tydzień pamięci o ormiańskim arcybiskupie polskim patriocie Józefie Teodorowiczu

Warszawa – Katowice – Kraków
30 listopada – 7 grudnia 2013 roku

■ Sprzed Urzędu Gminy w Mroczach (woj. mazowieckie) zniknęła w nocy okrągła donica razem z kwiatami. Policjanci z miejscowego komisariatu odnaleźli ją na jednej z bocznych ulic. Była ciężka i sprawca prawdopodobnie nie mógł sobie z nią poradzić, turłał ją więc po asfalcie, aż w końcu zostawił i uciekł. Sprawcą kradzieży i turliania donicy okazał się 18-letni Rafał P., który dobrowolnie poddał się karze. Teraz ma oddać do urzędu donicę. Ale o podstawie rombu.

■ Około godziny 1.20 oficer dyżurny komendy policji w Iławie otrzymał telefoniczne zgłoszenie, że na jednej z ulic w mieście doszło do włamania do kiosku. Na miejscu pojechali policjanci, którzy zabezpieczyli miejsce przestępstwa. Funkcjonariusze ustalili, że z obiektu handlowego sprawcy zabrali... kajdanki z futerkiem. Jako, że kiosk miał swój monitoring, szybko zatrzymano dwóch sprawców kradzieży: 20-letniego Dawida A. oraz 22-letniego Sebastiana L. Niestety dla partnerów już bez nazwisk, nie zostali oni zakuci w kajdanki z futerkiem.

ni bliźniacy. Oświadczyli, że zostali pobici przez nieznanego im mężczyznę. Mocno zdziwił ten fakt funkcjonariuszy, bo to zgłaszający często „występowali” jako sprawcy czynów karalnych, a ponadto nie posiadali żadnych obrażeń. Chwilę potem do komendy zgłosił się trzydziestokilkuletni mężczyzna. Posiadał liczne obrażenia ciała - złamany nos, stłuczoną głowę i kłatkę piersiową. Poinformował, że został pobity właśnie przez braci-bliźniaków. Policjanci przeprowadzili dwa równoległe postępowania, które zakończyli rzutem monetą i postawieniem zarzutów jednojałowym.

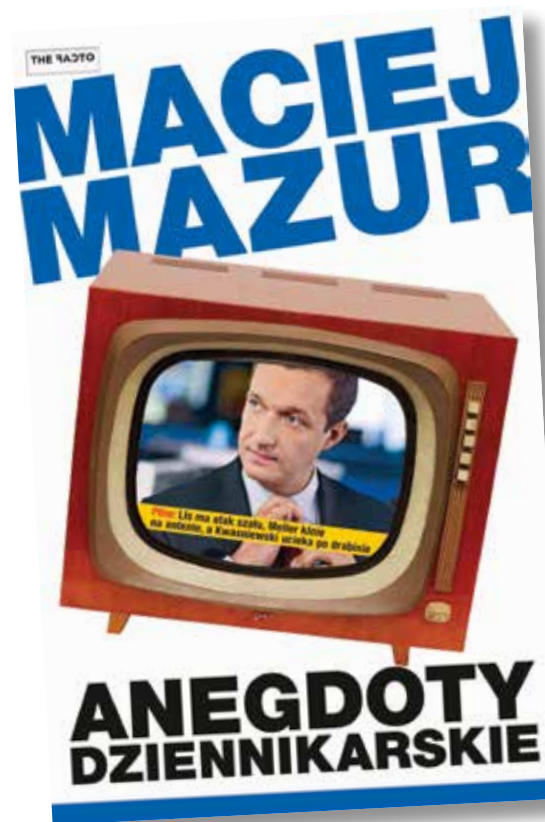
■ Na policję w Złotoryi zgłosili się dwaj bracia, a konkretnie: 15-let-

Nowosolska policja otrzymała zgłoszenie o dokonaniu nieuczciwej transakcji. Szczegóły tego zdarzenia są zaskakujące. W jednym z nowosolskich supermarketów kasjerka, działając w zmywaniu z kupującym, celowo „pominęła” część towaru, który nie został przez nią „skasowany”. O co chodziło? O 5 butelek whisky i kabanosy. W sumie zakupy na kwotę 500 zł. W zamian za to „przeoczenie” kasjerka miała dostać od smakosza whisky i zakąski... karmę dla swojego jamnika.

Źródła: www.minskaz.com, www.zlotoryja.info, www.mnnowasol.pl, www.wmtv24.pl



Maciej Mazur, znany dziennikarz TVN na telewizji zjadł zęby i wie o jej kulisach niemal wszystko. Między innymi to, jak przytrzymać widza przy porannej kawie i poradzić sobie z zenującymi niekiedy wpadkami. Artykuł jest fragmentem książki „Anegdoty dziennikarskie”, wydanej przez wydawnictwo „The Facto”



Oto właśnie „Pytanie na śniadanie”, jeszcze w czasach, gdy prowadził je przeniesiony później do TVN duet Dorota Wellman-Marcin Prokop. W studiu dzień jak co dzień, chociaż to akurat wydanie tuż przed Sylwestrem. Goście się zmieniają. Następnym w kolejności podobno jest wróżbita Maciej. Scenariusz tej części programu zakłada, że prowadzący podchodzą do gości siedzących na sofach i zagadują. Redaktor Prokop już widzi swojego rozmówcę. Facet ubrany jest w sari. Na szyi metalowa obroza, na rękach bransoletki. Na głowie ekstrawagancka fryzura przypominająca skrzyżowanie Dariusza Szpakowskiego z dońskim Kozakiem. Słowem: czarnoksiężnik, nie ma żadnych wątpliwości. Jak nie ma, to nie ma. Wydawca już odlicza: trzy, dwa, jeden, jestes.

CAŁA PRAWDA O TELEWIZJI ŚNIADANIOWEJ

Telewizja śniadaniowa przypomina trochę szwedzki stół zastawiony mnóstwem potraw. Sięgając po serek trzeba uważać aby nie wsadzić ręki w konfitury. Nieważne, czy jest to „Dzień Dobry TVN”, „Kawa czy herbata” w TVP1 czy też „Pytanie na śniadanie” w TVP2 – scenariusz zwykle jest podobny. Mnóstwo gości, mnóstwo tematów, musi być tempo. Nad porządkiem panuje wydawca programu, a prowadzący na wszelki wypadek mają w rękach kartki z kolejnymi punktami porannego show

Jestem wróżem, tylko profesorem. Wiesław Olszewski, historyk z Uniwersyte-u Adama Mickiewicza. Nie umiem więc wróżyć, ale na podstawie doświadczenia mogę przedstawić naukową prognozę – i niewytrącony z równowagi nieco ekscen-trycznie wyglądający profesor (przy okazji podróżnik, co tłumaczy jego dziwny strój) snuje opowieść o możliwych wydarzeniach nadchodzącego roku. Prognoza jest bardzo zgrabna, tylko prawdziwy wróż może się czuć nieco zdziwiony, że oto właśnie w tym pytaniu na śniadanie ktoś mu zjadł konfitury.

Redaktorze – wróż powoli zaczyna przemowę. – W zasadzie to nie jestem wróżem, tylko profesorem. Wiesław Olszewski, historyk z Uniwersyte-u Adama Mickiewicza. Nie umiem więc wróżyć, ale na podstawie doświadczenia mogę przedstawić naukową prognozę – i niewytrącony z równowagi nieco ekscen-trycznie wyglądający profesor (przy okazji podróżnik, co tłumaczy jego dziwny strój) snuje opowieść o możliwych wydarzeniach nadchodzącego roku. Prognoza jest bardzo zgrabna, tylko prawdziwy wróż może się czuć nieco zdziwiony, że oto właśnie w tym pytaniu na śniadanie ktoś mu zjadł konfitury.

redaktorze – wyzwanie podjęła Magdalena Cwenówna. – Poniekąd jestem trochę matką Adama Hanuszkiewicza. Wie pan, w tym wieku jest on już nieco jak dziecko... A co to się tym razem stało? Och, no niestety skleiły się kartki. Młode i świadome matki wciąż czekały na swój występ, zachylając się w tym momencie poranną kawą. Na śniadaniowy deser może ostatnia z Prokopowych przygód z gośćmi. To będzie rok 2001 lub 2002, czyli jeszcze czasy, gdy w MTV prowadził program „Select”. Program szedł na żywo, do studia zapraszano zawsze muzyczną gwiazdę. Swoją pierwszą solową przebojową płytę wydał wówczas Andrzej Smolik. Smolik jak to Smolik – z nazwiska jest znany, ale już z twarzy trochę mniej. Z imieniem też bywa różnie, bo jednak w tytule płyty stoi tylko nazwisko. Artysta przychodzi, wita się, siada. Startujemy. Rozmowa idzie dynamicznie, gość jest dowcipny i elokwentny, prowadzący oczywiście też – tylko że każde pytanie zaczyna na od „Panie Bohdanie”. I tak w kółko. Co Smolik skończy odpowiadać znów słyszy „Panie Bohdanie”. Trzydzięci minut program minęło ani się obejrzało, na koniec gość tylko zaznacza, że chciałby coś jeszcze dodać. – Wie pan – lekko zmieszany zwraca się do Prokopa. – W zasadzie to ja mam na imię Andrzej, a nie Bohdan... Teraz nie co się zmieszal prowadzący. A skąd ten Bohdan? No cóż. Tak się jakoś skojarzyło i pomyliło. Smolik – Smoleń... W sumie podobne brzmi, chociaż muzycznie to jakby nieco inna półka.

FANTASTYKA NIE UMARŁA

A ENDER GRA

MONIKA TOPPICH współpracownik fundacji "Nowe Media", studentka historii

Jesteś młody i zdolny? Musisz uratować świat. Nieważne, że jesteś dzieckiem, dorosli przecież chętnie zmuszą cię do wykonania zadania, na które sami nie mają najmniejszej ochoty



Pisarze lubują się w postaciach małych dzieci, na których spoczywa wielka odpowiedzialność. I choć całe pokolenie wychowało się na bohaterkach czynach Stasia z „W pustyni i w puszczy”, w ostatnich latach widać pewną zmianę mentalności. Swoją drogą – czy ktoś zrobił na ten temat badania socjologiczne? Od wielkiego szalu na Harry'ego Pottera, poprzez „Grę Endera” widać pewną tendencję – jeśli dzieje się coś bardzo niebezpiecznego, a ludzkość staje przed poważnym wyzwaniem, dorośli zaczynają szukać „cudownego dziecka”, które z pewnością uratuje świat, podczas gdy oni schowają się w bezpiecznym schronie i będą trzymać kciuki. A jeśli dzieciakowi się uda, oczywiście zostaną ojeami sukcesu. Brzmi niepokojąco? Bez wątplenia.

W roku 2070, czterdzięci lat po inwazji na Ziemię rasy zwanej Formidami – kosmici wyglądają jak powiekszone robaki, ale bardzo dobrze radzą sobie w wojnie – specjalna jednostka wojskowa, którą dowodzi pułkownik Graff (w tej roli Harrison Ford) jest odpowiedzialna za wyszukiwanie i trening dzieci, które w przyszłości poprowadzą armię przeciw najeźdźcom. Trafia tam Ender Wiggin, który dzięki uporowi i ciężkiej pracy staje się jednym z najlepszych rekrutów. Na stacji kosmicznej, która jest bazą wypadową do przyszłej wojny z Formidami, ma przejść ostateczne szkolenie. Zbiegiem czasu symulacje bitew, które musi stoczyć chło-

pa k , stają się coraz trudniejsze, a sam Ender nie zdaje sobie sprawy z tego, że bierze udział w dużej poważniejszej wojnie, niż symulowane potyczki. Najbardziej niepokojący w tym filmie jest realizm – w ciągu najbliższych 60 lat mielibyśmy mieć jedną, wielką wojnę z najeźdźcami z kosmosu, technika miałaby iść nieco do przodu, ale poza tym sytuacja na ziemi niewiele by się zmieniła. Ludzie żyją sobie spokojnie, tylko niewielka grupa dzieciaków toczy w kosmosie walkę na śmierć i życie. A do wygrania jest wiele.

Jednym z najmocniejszych punktów tego filmu jest gra głównego aktora. Asa Butterfield, który już nie raz udowodnił, że radzi sobie z rolami trudnymi emocjonalnie (warto wspomnieć choćby poruszający film „Chłopiec w pasiastej piżamie”), tym razem wspaniale pokazuje zmiany, które zachodzą w Enderze – od małego chłopca, który stara się być dobrym uczniem, walczy ze starszymi kolegami o uznanie rówieśników, po przywódcę i dowódcę, aż po zmęczonego żołnierza. I co więcej, Asa robi to z niesamowitą lekkością, nie ma tu przesadnych gestów, jest jedynie nastolatek, któremu ktoś włożył na ramiona zbyt duży ciężar. Dużo słabiej na tym tle wypada Harrison Ford, który nie do końca potrafi się chyba zdecydować, czy traktować „Grę Endera” jak poważny film, czy też przyglądać się całej akcji z lekkim rozbawieniem. Dlatego też w wielu miejscach irytuje – nie tylko Endera, ale i widza. Przy skomplikowanej przemianie głównego bohatera i wojnie moralnej, którą musi stoczyć sam ze sobą, efekty specjalne i muzyka stają się tłem, ale tłem pasującym, budującym ten film. Czy warto iść do kina na „Grę Endera”? Raczej nie ze względu na efekty specjalne, czy sceny bitewne, których jest niewiele. Raczej nie ze względu na muzykę, której się specjalnie nie zauważa. Ale warto przyrzeć się Enderowi i zastanowić nad tym, czy XXI wiek rzeczywiście musi być czasem cudownych dzieci i czy nie lepiej jednak dać im najpierw dorosnąć, a dopiero potem wysłać do wykonania zadania, które przeraża samych dorosłych.

KRAJEWSKI MNIEJ KRWAWY

MARCIN ROSŁOWSKI specjalista ds. komunikacji społecznej

Po śmierci Joanny Chmielewskiej Marek Krajewski pozostaje bodaj najpopularniejszym polskim autorem powieści kryminalnych – choć jego twórczość sytuuje się dokładnie na przeciwnym biegunie pisarstwa autorki „Lesia”. W przypadku wrocławskiego twórcy trudno jest bowiem mówić nawet o „czarnym kryminale”. Jeśli już, to o kryminale niezwykle czarnym, obficie zroszonym posoką. Przy Krajewskim Chandler jawi się jako autor pogodnych i dydaktycznych opowiadań dla młodzieży, a jego bohaterowie niczym wyjęci z moralnych przypowieści. Na kartach książek Marka Krajewskiego nie goszczą ludzie dobrzy – skala zamyka się między trochę złymi a szatańsko złymi.

Najnowsza powieść Krajewskiego, pod jakże malowniczym tytułem „W otchłani mroku”, należy do cyklu, którego głównym bohaterem jest lwowski komisarz Policji Państwowej Edward Popielski – w tej powieści już były komisarz, ukrywający się w powojennym Wrocławiu, ścigany przez bezpiekę. Krajewski odszedł od schematu, zgodnie z którym – a była to dotąd żelazna reguła jego twórczości – każda kolejna książka jest bardziej przesiąknięta krwią i okrucieństwem od poprzedniej. Krew leje się tu, można powiedzieć, oszczędnie. I chwala Bogu, bowiem opisy zmasakrowanych zwłok i scen tortur, podawane z precyzją sądowego protokolanta, przyćmiewają dotąd fabule.

„W otchłani mroku” spina wydarzenia współczesne z ponurą historią sprzed niemal siedemdziesięciu lat. Kluczem do rozwiązania intrygi jest zaś nie policyjne śledztwo, a filozoficzny spór. A wszystko to w malowniczym (acz, jak to u Krajewskiego, ponurym) pejzażu zniszczonego Wrocławia. Z Urzędem Bezpieczeństwa i NKWD w tle. Nie zabrakło i postaci „dobrego Rosjanina”, która jednak raz i swoją sztucznością. Krajewski zatoczył koło. Po niezbyt udanych eksperymentach z szokowaniem czytelnika okrucieństwem, wraca do stylu, który znamy z pierwszych książek o Mocku. Intryga ciekawa, a przyprawy, jak u dobrego kucharza, dobrane harmonijnie: krew, czarny humor, zaskoczenie – wszystko we właściwych proporcjach.



Marek Krajewski, W otchłani mroku, Kraków 2013, Znak

#HAJS SIĘ ZGADZA

MATEUSZ ZARZEWIAŁY student europeistyki na UKSW

Kasa misiu, kasa – czyli o przyczynach powstania nowej powieści Sapkowskiego i wynikających z nich następstw

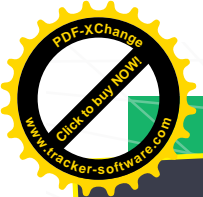
Marketingowa maszyna podgrzewa atmosferę wokół dzieł kultury na wiele miesięcy przed ich premierą. Wyglądali czytelnicy najpierw nęceni są zapachem, by po kilku miesiącach otrzymać oczekiwany przysmak. Tymczasem zapowiedź nowej powieści o Geracie z Rivii spadła z szybkością wiedeńskich mieczy. Jeszcze wczoraj nikt nawet nie marzył o kontynuacji losów białowłosego herosa, a już pojutrze książka znalazła się na półkach księgarskich. Ta niespodziewana wiadomość wywołała duże zamieszanie, z miejsca stając się jednym z ważniejszych wydarzeń literackich. „Sezon burz”, kolejna powieść osadzona w wykreowanym przez Andrzeja

Sapkowskiego uniwersum, przypomina o literackich korzeniach wiedźmina. Choć ostatnie lata to wręcz renesans Geralta wśród odbiorców kultury masowej, zjawisko to wynikało głównie z popularności gry „Wiedźmin”. Stworzona przez firmę CD Projekt RED wirtualna opowieść o Geracie zdobyła globalny rozgłos i szereg nagród branżowych. Nic więc dziwnego, że czytelnicy ciepło wspominający najłynniejszą polską sagę fantasy, spoglądali na nowy tom z rezerwą czy wręcz nieufnością. Część publiczności nie wahała się przed sformułowanym wprost oskarżeniem: „Sapkowski napisał to dla pieniędzy”. Cóż, gratulacje. Witamy w prawdziwym życiu! Jednak czym w ogóle jest wiedźmiński cykl? Nie zagłębiając się nadto w szczegóły, przedstawiciele należy garść ogólników. Oto niejednoznaczny, pełen zarości i jej odcieni świat. Wśród niego, z reguły nikczemni przedstawiciele wymagowanych religii. Często knują intrygi. Nie są w tym jednak osamotnieni. Podobne hobby uprawiają wszyscy bez wyjątku czarodzieje. Tym z kolei dorównuje większość

ważnych osobistości świata śmiertelników, od podrzędnych starostów, poprzez arystokrację, aż po królów. Losy zwykłych ludzi to po prostu błąd w rachunku świata. W tej rzeczywistości błąka się generalnie szlachetny, choć targany wątpliwościami, główny bohater. Jest też bard Jaskier wprowadzający nutę epikureizmu. Nieszczęśliwy, pełen komplikacji wątek miłosny – a jakże! – również nie został pominięty. Mamy więc wszystkie składniki, które teoretycznie znaleźć się powinny w dziele schlebającym gustom masowego czytelnika. Jednak same składniki to za mało. Sapkowski, operując w swoich powieściach w gruncie rzeczy tymi samymi schematami, jest najzwyczajniej w świecie dobrym pisarzem. Oczywiście, w jego twórczości próżno szukać literackiej głębi, ambitnego przesłania. Jest to zwyczajna pop-literatura, nierozszczęca sobie pretensji do wyższych rejonów ducha. Przy tym wszystkim, nie obraża inteligencji czytelnika. Na tym polega siła jego twórczości. Fakt, jednoznacznie brak tu nowatorstwa, świeżego pomysłu. „Sezon burz” w niczym nie zaskoczy czytelnika Sap-



kowski, a wątek Aguary zakończony został w sposób wręcz prostaki. Bez cienia wątpliwości nowe przygody Geralta z Rivii to kotlet w czystej postaci. Nie jest to jednak odgrzewany mielony w podrzędnej karczmie, a solidne, świeże danie z przyzwoitej restauracji. Jakkolwiek komercyjnie przesłanki do wznowienia sagi wydają się wręcz oczywiste, biorąc pod uwagę efekt, nie można z nich czynić zarzutu. Bo Sapkowskiego po prostu dobrze się czyta, choć raczej przez jedno popołudnie. Czekamy na następny tom!



OGÓLNOPOLSKA KONFERENCJA **GAZET**
Akademickich **i** Studenckich

WYKŁADY:

„Media studenckie jako źródło informacji dla młodego człowieka”
Wawrzyniec Pater (*Eurodesk Polska, Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji*)

„Czy wiemy, dokąd idziemy?
Jak zmieniają się polskie media i jak te zmiany wyprzedzić?”
Robert Bogdański (*Fundacja Nowe Media*)

znani i cieni dziennikarze

WARSZTATY:

„Między produktem a misją. Sztuka ciekawego wywiadu”
Bogdan Rymanowski (*TVN 24*)

„Czy w lajfstajlu można jeszcze wymyślić coś nowego – metoda na sukces”
Łukasz Modelski (*Twój Styl*)

„O tym pisać! Sztuka selekcji informacji i wyboru tematów wiodących”
Jacek Karnowski (*wSieci*)

DYSKUSJE:

„Po co to robimy? Dyskusja o misji dziennikarskiej”
Eliza Olczyk (*Rzeczpospolita*)
Piotr Gursztyn (*Do Rzeczy*)
Piotr Skwieceński (*wSieci*)
Michał Szuździński (*Rzeczpospolita*)
Jarosław Gajewski (*Koncept*)

„Gazeta nie tylko do zabijania much. Sztuka przeprowadzania kampanii społecznych”
Marcin Rosołowski (*Koncept*)
Jakub Biernat (*TVP/TV Bielsat*)
Piotr Müller (*Parlament Studentów RP*)
Krzysztof Przybył (*Fundacja Teraz Polska*)
Wiktor Świetlik (*Koncept*)

14-15.XII

CERTYFIKAT

OPLATA 200 zł (dwa noclegi, pełne wyżywienie)

WARSZAWA

Zgłoszenia do 15 listopada, formularz dostępny na:
www.FundacjaInicjatywMłodzieżowych.pl/konferencja

KONFERENCJA



Młodzież w działaniu